TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok III — Kraków, niedziela, dnia 24 lipca 1938 r. — Nr 30

Franciszek Bielak

O przyszłego polonistę

Przed laty wszczęta przez prof. Kołaczkowskiego dyskusja nad zreformowaniem studiów polonistycznych w uniwersytetach da, prawdopodobnie w niedługim czasie, pożądany rezultat pod postacią odpowiednich zmian w przepisach magisterskich. Zanim to jednak nastąpi, godzi się zająć ostatnim głosem w tej sprawie, głosem wybitnego dialektologa, znanego szerszej publiczności przewodniczącego Komisji ortograficznej, prof. K. Nitscha.

Na artykuł ten (O językowym dziale studiów uniwersyteckich — „Język Polski", r. XXIII, 3) zwrócił mi uwagę ktoś postronny, zdziwiony niemile jego tonem w odniesieniu do prof. Kołaczkowskiego, podobnie przecież jak prof. Nitsch, profesora Uniw. Jagiell. Uspokoiłem zacnego człowieka zapewnieniem, że dyskusja na temat tonu jest spóźniona, a zresztą wiadomo, komu taki ton szkodzi, a nawet kogo poniża.

Jednak poza tonem zostają sprawy istotnie ważne, gdyż przygotowanie polonisty dla dzisiejszej szkoły średniej — niemały to problem. Jeżeli zawsze nauczyciel jest „żywym niezastąpionym przedstawicielem ludzkości, wyrażającym jej tradycje" (Hessen) i szczepiącym je w młodych duszach, to polonista przed wszystkimi „pogłębiać ma wewnętrznie młodzież przez uświadamianie jej wartości duchowych, jakie tkwią w polskim dorobku kulturalnym zwłaszcza zaś w dziełach literatury dawnej i współczesnej" (Program). Prócz doskonałej znajomości literatury musi polonista opanować język i naukę o języku, gdzie poza czysto gramatykalnymi wiadomościami stawia Program poloniście bardzo poważne wymagania. Ma on prócz „gramatyki" rozumieć się na stronie psychologiczno-poznawczej języka, podobnie też na jego funkcji socjalno-kulturalnej, ma znać (w szerokim znaczeniu) jego historię, i ma tego wszystkiego umieć w szkole inteligentnie używać. Kto chce się przekonać, ile nowości mieści się w nauce o języku w gimnazjum i liceum, — niech przejrzy podręczniki prof. Z. Klemensiewicza na kl. IV gimn. i dla liceum, a dowie się, że porusza się tam kwestie rzadko traktowane w wykładach i pracach językoznawców.

Psychologia i historia języka

Właśnie dlatego prof. Kołaczkowski dopominał się o wzbogacenie studiów polonistycznych psychologią języka. Prof. Nitsch paruje ten postulat stwierdzeniem, że trzej językoznawcy (nieżyjący już dziś!): Baudouin de Courtenay, Rozwadowski i Gawroński tą **psychologią się zajmowali.** Otóż oczywiste rozminięcie się w czasie — delikatnie mówiąc — pozwolę sobie oświetlić drobnym faktem. W pierwszym wydaniu **„Języka Polskiego"**, pięknej syntezy językoznawstwa polskiego z r. 1915, była obszerna praca o psychologii języka pióra właśnie Baudouina de Courtenay; jeszcze za życia B. de C. w wydaniu drugim (1923), którego opiekunem był prof. Nitsch, tę pracę **usunięto** razem z artykułem Brücknera o wpływach obcych w j. polskim. Czy pomieszczono inną pracę o psychologii języka? Nie. A więc, skąd słuchacz polonistyki może się o tym poinformować, skoro tego — o ile wiem — zwykle się nie wykłada, a pierwsze wydanie J. P. jest zupełnie wyczerpane?

Może być, że stanowisko B. de C. nie odpowiało redaktorowi II wydania, ale czyż brak artykułu na ten temat w podręczniku uniwersyteckim nie świadczy o pewnym zlekceważeniu zasadniczej sprawy? Właśnie II wyd. „Języka Polskiego" — zwanego popularnie „gramatyką pięciu" — w miejsce dużo szerszego ujęcia pierwotnego dowodzi, że tendencją redakcji było stworzenie ciasnego kanonu wiadomości gramatycznych.

Ubocznie surowo osądza prof. Nitsch idealizm lingwistyczny Karola Vosslera, a raczej informuje nas, że osądzili go już ostro śp. Rozwadowski i Wędkiewicz. Jako laik nie wiem, gdzie i kiedy ten osąd ogłosili, a byłoby to bardzo ciekawe. Prof. Rozwadowski zdobył swego czasu (1904) sławę przeciwstawieniem się Wundtowi w „Wortbildung und Wortbedeutung", równie chyba głośną byłaby polemika z Vosslerem, który właśnie w r. 1904 wystąpił ze swym pismem: „Positivismus und Idealismus in der Sprachwissenschaft". Natomiast jeden z najświetniejszych humanistów polskich i głęboki znawca prądów kulturalnych, jakim jest prof. Wędkiewicz, zdaje mi się, że nic większego o Vosslerze nie ogłosił. Być może, że Vossler nie ma racji, ale autor wielkiej monografii o Boskiej komedii, książki „O kulturze francuskiej w zwierciedle jej rozwoju językowego", o „Duchu i kulturze w języku" nie jest byle kim i trudno go załatwić ogólnikami. Wiadomo poza tym, że w nauce trudno tak z góry kogoś dyskwalifikować; historia nauki notuje przecież płodne w następstwa błędy i prawdy względnie martwe.

Ale stańmy na stanowisku prof. Nitscha i odrzućmy „herezje" Vosslera, bo rzeczą bezpieczną jest przecież „iurare in verba magistri". Pozwolimy sobie jednak zaznaczyć, że właśnie prof. Rozwadowski dużo praktyczniej patrzył i widział konieczność pogłębienia studium językoznawczego. Chciał właśnie wejść w dziedzinę, którą Vossler uważał za właściwszą idealizmowi językowemu, bo zamierzał napisać **„Teorię zjawisk językowych i nauki o języku"**; jego umysł nastrojony filozoficznie nie mógł poprzestać na opisywaniu „materiału"; toteż raz po raz stawiał teorie, jak np. piękną teorię o zjawisku automatyzacji i dysautomatyzacji w języku, tak bliską pewnym rozważaniom Vosslera. Myśląc zaś o syntetycznym ujęciu teorii języka troszczył się, rzecz dziwna, właśnie przede wszystkim o... słuchaczy uniwersytetu. Pisał w tej sprawie do St. Michalskiego: „Rozbieżność stanowisk, oceny i podchodzenia do zjawisk językowych jest od końca XIX w. bardzo wielka. **Student jest zupełnie zdezorientowany.** Dlatego to byłoby nadzwyczaj ważną rzeczą, gdybym mógł pisząc „Poradnik" (dla samouków — dopis. F. B.) oprzeć się na książce gotowej, chociażby nawet nie została przedtem wydana" (J. M. Rozwadowski: Prawda życia — 1937 — str. XXIV i XXV).

A więc Rozwadowski chciał dać studentom książkę ujmującą teorię lingwistyki, o której w tej czy innej formie myślą poloniści. Bo nie chodzi tu o Vosslera czy kogo innego, tylko o uwzględnienie tej potrzeby, którą doskonale widział przed laty Rozwadowski i pragnął jej zaradzić. Zapewne tam znalazłyby się poważne słowa o Vosslerze czy Crocem, czy wielu innych sprawach „wstępnych".

Nawiasowo dodam, że Vossler ma szerokie zainteresowania i bardzo entuzjastycznie pisze w „Geist und Kultur in der Sprache" o roli języka polskiego w utrzymaniu poczucia narodowego w czasach niewoli. Ciekawe dla stanowiska polskiej nauki, że prof. Słoński w „Historii języka polskiego w zarycie" (1934), choć na **dwóch stronach** omówił dzieje nieszczęsnej ortografii od r. 1827 do r. 1917 — nie znalazł miejsca na wzmianki o tym niepospolitym fakcie w historii **kultury** polskiej, omawianym przez uczonego niemieckiego.

Właśnie też ta najnowsza książka, napisana na poziomie średnim, przedstawia ciekawy dowód, jak trudno **od gramatyki historycznej** przejść **do historii języka.** Ograniczę się do paru cyfr. Otóż w „Historii" prof. Słońskiego dzieje języka polskiego **do** Jana Kochanowskiego zajmują str. **107** (str. 45—152), a **od** Kochanowskiego po wiek XX str. **10** (od str. 153—163), a o wpływach obcych w j. prasłowiańskim i polskim na przestrzeni kilkunastu wieków mówi się na **sześciu** końcowych stronach. Czyżby język polski w przeciągu prawie czterech wieków tak mizernym był tworem kultury, tak mało mówił nam o życiu społecznym, politycznym, artystycznym, żeby nie zasługiwał na dużo szersze ujęcie, niż to, które nam tu dano? Zdaje mi się, że podręcznik warszawskiego uczonego jest symptomem stanu ogólnego językoznawstwa polskiego. Dopóki mówi ono o zmianach fonetycznych czy fleksyjnych, stoi na gruncie pewnym i daje drobiazgowe informacje; gdy przechodzi do składni historycznej, gdy zacznie zagłębiać się w zasób leksykalny i jego dziwne przemiany, gdy wypadnie mu się zająć językiem jednostki czy grupy, językiem jako prawdziwym pomnikiem i narzędziem życia kulturalnego, wtedy uczy nas dużo mniej.

Wszystko jedno więc, czy pod takim czy innym hasłem, jednak polonista potrzebuje **nie tylko historycznej gramatyki, ale historii języka polskiego.** Już zjawiają się zapowiedzi trochę innego patrzenia na te sprawy: mamy artykuł prof. T. Lehr-Spławińskiego: „Język polski jako zwierciadło kultury narodu", dużo mniejszy niż podobne dzieła Vosslera i inaczej ujęte, ale już zapowiadający trochę inne spojrzenie na sprawy języka. Gdybyż jeszcze jakaś unowocześniona „Cywilizacja i język", bo Brücknerowska praca sprzed wielu lat jest wyczerpana, gdyby jakaś „Stylistyka polska" w rodzaju wprost klasycznej pracy Bally'ego „Traité de stylistique francaise". Ma rację prof. Nitsch, gdy pisze, że grupa warszawskich historyków literatury spodziewa się pomocy w zrozumieniu formy utworu artystycznego od językoznawców, ale niesłusznie ogranicza to oczekiwanie do pewnej tylko grupy. **Wszyscy poloniści oczekują tego,** ale zdaje mi się, że to tęskne uczucie nie wywołuje u językoznawców nawet pewnego zakłopotania, fundowanego na poczuciu skromnych zasług w tym właśnie zakresie.

Bo popatrzmy tylko: ostatnio literat Borowy dał nam piękną pracę o rytmie prozy Żeromskiego, dawniej literat Weintraub opracował styl Jana Kochanowskiego, literat Falkowski zajął się przemianami w słownictwie Słowackiego, stylometrią u Krasińskiego zajmował się historyk filozofii Wąsik. A gdzie opracowanie słownika Reya czy Mickiewicza, gdzie wreszcie Słownik Staropolski opracowywany w Krakowie przez lat czterdzieści, czy nawet, ściśle biorąc, siedemdziesiąt! Łatwo krytykować ustępy o języku C. K. Norwida u I. Fika czy o języku Żeromskiego u St. Adamczewskiego, ale czyżby lingwiści rezerwowali sobie tylko prawo krytyki?

Te drobiazgi ilustrują tylko, jak wiele poza kursem tradycyjnym gramatyki zyskałby polonista, gdyby mu dopomożono do wniknięcia w potrzebne mu dziedziny psychologii, czy historii języka. W tradycyjnym kursie prof. Nitsch podkreśla konieczność znajomości gramatyki jezyka starobułgarskiego i słusznie, bo właściwie jej znajomość ułatwia głębsze wniknięcie w historyczną gramatykę j. polskiego. Chodzi tylko o zakres wiadomości w tej dziedzinie podobnie, jak

---

Bronisława Kumaniecka

BEDUINI

Idą szlakiem karawan uciążliwym, wieczystym,
Złe potęgi sammumu ich gnają,
Za pastwiskiem, za strawą dla swej trzody szukają
Na ogromnym ugorze piaszczystym.

Coraz dalej i dalej wiatrem wrogim ścigani
Zaganiają wytrwale swe hufce,
Nigdzie długo nie spoczną — — w niestrudzonej wędrówce
Step jest dla nich jedyną przystanią.

Co wam mówią złowrogie poświty sammumu,
Co wam mówią gwiazdy roziskrzone?
One, jak wy się kręcą, w przestrzeń wszechwładnie rzucone,
Jak wy w ręku Stwórcy znikome...

przy najbardziej konkretnej wiedzy gramatycznej, jaką jest fonetyka opisowa.

Obrona fonetyki opisowej przez prof. Nitscha jest wybijaniem drzwi otwartych; polonista musi ją znać, tylko chodzi o to, by poznał ją z głębszym zrozumieniem i wniknięciem nie tylko w samą artykulację, ale także w inne czynniki działające przy wymowie. Że tu łatwo o mechanizację, bo fonetyka opisowa ma ze wszystkich działów jezykoznawstwa najwięcej elementu przyrodniczego — wystarczy jedna ilustracja. Do niedawna na jednym z polskich uniwersytetów egzamin tego podstawowego przedmiotu odbywał się taką metodą: Słuchacz miał orzec czy zgadnąć, jaką artykulację przedstawia rysunek schematyczny (Tablice Abińskiego) dający język, wargi, zęby itd. w pewnej sytuacji. Ale trzeba widzieć te rysunki. Przy artykulacji np. samogłoski „i" język przedstawiono jako olbrzymi guz wyrastający u podstawy wewnętrznej dziąseł i wypełniający całe usta; przy innych schematach, zęby, wargi, podniebienie wychodzą jako tako, ale właśnie biedny język jest zawsze tworem teratologicznym. Wyjaśniono mi, co prawda, że materiał do tablic zbierał autor w szkole dla głuchoniemych (!) — co nawet wydaje się dość prawdopodobne ze względu na potworkowatość owych „języków". Ale te potworki zostały wydane przez Tow. Miłośników Języka Polskiego i uznane są za pomoc szkolną i uniwersytecką. Na szczęście w szkole średniej młody człowiek ogląda jamę ustną albo na modelu albo swą własną przy pomocy lusterka, wobec tego nie wierzy w owe fantastyczne twory opublikowane dla „miłośników języka".

Więc można i trzeba uczyć fonetyki; ale nie w taki sposób i nie w takiej izolacji; podobnie jak sens nauczania gramatyki starosłowiańskiej jest oczywisty, tylko znowu celowość tych studiów powinną ożywić metodę i wyznaczyć im właściwe granice. O tę celowość, która by uniemożliwiła sztywność egzaminowych parcel chodzi nie tylko, gdy mówi się o przyszłym poloniście nauczycielu szkoły średniej, ale gdy chodzi o polonistę bez przydawki, tzn. przyszłego krytyka literackiego czy literata czy pracownika naukowego. Bo z poprzednich uwag chyba widać, że właściwie językoznawstwa **trzeba uczyć wiele, ale inaczej,** z pewnym przesunięciem w stronę spraw nie tak pewnych jak oboczności fonetyczne, ale jednak bardzo ważnych i potrzebnych.

Nie mogę się jednak zgodzić na rodzaj argumentów prof. Kubińskiego, będących podstawą dla triumfującego stwierdzenia prof. Nitscha, że „gramatyki" trzeba (na uniwersytecie) dużo uczyć, bo w gimnazjum uczy się jej więcej niż literatury. Oto słowa wybitnego dialektologa: „na podstawie obowiązującego planu gimnazjalnego i licealnego **szczegółowo wykazał** w Tygodniku Ilustrowanym p. R. Kubiński, że nauka literatury zajmuje w **szkole średniej** o wiele mniej miejsca (najwyżej $^1/_3$) niż **nauka języka**" (J. Pol. XXIII. 3, str. 70). Otóż argument prof. Kubińskiego został tu trochę zniekształcony, brzmi on bowiem tak: „Można (?) więc powiedzieć, że w gimnazjum na literackie zagadnienia przypada może $^1/_3$ a może $^1/_5$ czasu nauczania. Na język na pewno ½ czasu a reszta na inne kwestie... W liceum **sprawa przedstawia się inaczej. Tam góruje historia literatury** i związanych z nią pewnych „zarysów kultury". Czy można było streścić rzekomo szczegółowy wywód prof. K. w ten sposób, jak to zrobił prof. Nitsch? Jeżeli wyższy szczebel szkoły średniej wyraźnie podkreśla hegemonię gruntownego przygotowania literackiego, to nie wolno wykręcać sprawy przez dodanie przymiotnika „licealny", który od razu zmienia sens i tak słabo logicznie zbudowanego artykułu prof. Kubińskiego.

„Literatura czysta"

Logiki uczył prof. Nitsch w gimnazjum z zamiłowaniem i nie pozwoliłby wówczas, przed laty trzydziestu, na takie sposoby cytowania. Nie użyłby też mętnego terminu „nauka języka", tylko sam zajrzałby do Programu i przekonałby się, że **„nauka języka",** jeden z trzech działów polonistyki szkolnej, ma bardzo mało wspólnego **z nauką o języku,** czyli krótko mówiąc z gramatyką. Jest to bowiem uczenie mówienia i pisania, w skład którego wchodzą ćwiczenia w sprawozdaniu czy w opisie, w charakterystyce czy prozie retoryczej. Te elementy kompozycji pisarskiej, nie należały nigdy i chyba nie będą należały do lingwistów i jedyny — może już trochę przestarzały podręcznik do tej „prozaiki" — napisał w r. 1902 „literat" Piotr Chmielowski.

I tu zarówno prof. K. jak i prof. N. wprowadzają nieświadomego czytelnika w błąd, operując prymitywnie uzyskanymi ułamkami. Jeżeli bowiem prozaikę wypadnie podobnie jak poetykę zaliczyć do literatury, to otrzymany od razu na rzecz literatury $^2/_3$ czasu, a dla nauki o języku $^1/_3$. Informator prof. Nitscha świadomie tę sprawę mąci, w milczeniu przyjmując fałszywą tezę, że ćwiczenia w mówieniu, czytaniu, wygłaszaniu itp. — to wszystko sprawy językowe, a więc należące do gramatyki. Idąc dalej tym torem rozumowania mogę stwierdzić, że dialektyka to też sprawa językowa i szkoda, że tak prymitywnie posługują się nią pewni językoznawcy.

Już to prof. Kubiński, choć b. instruktor nauczania j. polskiego, nie dość orientuje się w sprawach literackich; wierzy np. w chimerę zwaną czystą literaturą, gdyż w toku swego artykułu wyłącza sprawy społeczne, obyczajowo-kulturalne z opracowań literackich. Czyż ktokolwiek z polonistów mógłby tak czytać „Treny" Kochanowskiego czy „Księgę ubogich" Kasprowicza, czy jakiekolwiek arcydzieło literatury, by nie poruszyć spraw poglądu na świat, czy ogólnie mówiąc spraw kulturalnych?

W starym, przedwojennym gimnazjum poruszano przy literaturze te sprawy i dziś też tak jest. Np. w krakowskim gimnazjum św. Anny przed laty trzydziestu uczyło dwóch doskonałych lingwistów: prof. K. Nitsch i prof. Ig. Stein i ci nie uczyli **„literytury czystej"** i wtedy nikt by nie uwierzył w ułamki prof. Kubińskiego. Stanowisko tych profesorów było i jest jedynie słuszne; jeżeli dzisiejszy program mówi, że przy lekturze dzieł literackich „ukryte w nich skarby wielkich czynów, myśli i uczuć winny przyczynić się do wzbogacenia i pogłębienia w duszach młodzieży uczuć religijnych, moralnych, estetycznych i narodowo-państwowych", to tylko wyraźniej zaznacza znaną, szczytną służbę literatury, którą dobry nauczyciel-polonista zawsze miał na oku i którą każdy kulturalny Polak umie cenić.

Zresztą wiadomo, że i językoznawca nie zawsze jest „czysty". Czyż uczony lingwista (jak prof. Taszycki) opracowujący nazwy miejscowe nie musi znać historii osadnictwa? Przecież badacz terenów językowo pogranicznych (jak prof. Lehr-Spławiński zastanawiając się nad zasobem wyrazów oznaczających przedmioty konkretne i pojęcia abstrakcyjne staje się przez to pisarzem filozoficznym?

Groźne i niebezpieczne w humanistyce jest szufladkowanie, ale właśnie w polemice o przyszłego polonistę i jego wykształcenie ten punkt widzenia dużo zmącił. Sprzyja mu niewątpliwie ratalny i sztywny system obowiązujących egzaminów magisterskich, ale przecież szkoły akademickie mają dość sposobów, by młodemu adeptowi nauki pokazać całą rozległość horyzontów myślowych unoszących się ponad opłotkami pewnych „kursów". Wtedy postawa studenta wobec zdobywanych wiadomości będzie bardziej twórczą, więcej kształcącą jego, a później i ewentualnych jego uczniów. Gdy się młodym ludziom nie okazuje związków między językoznawstwem a literaturą, gdy właśnie brakuje owych pomostów, o których mówiliśmy powyżej, jak historia języka, stylistyka, psychologia języka jako narzędzia informacji i tworzywa artystycznego, — gdy podkreśla się „naukowość" badań językowych w przeciwieństwie do „nienaukowości" badań literackich — wytwarza się postawę fałszywą i w gruncie rzeczy niekulturalną.

Dostrzegał to już dawno wspominany tu niepospolity uczony Rozwadowski, jak zresztą i prof. Jan Łoś. Przed laty prawie dwudziestu bardzo ofiarnie brali oni udział w posiedzeniach Krakowskiej Komisji Referentów, opracowującej program gimnazjum polskiego. W toku dyskusji, gdy właśnie mówiono także o przygotowaniu polonisty, prof. Rozwadowski w swoim charakterystycznym, melancholijno-sceptycznym, nastroju wyraził się mniej więcej w te słowa: „Niedobrze się stało, że lingwistyka tak oddzieliła się od literatury. — Jeszcze Przyborowski łączył te dwie dyscypliny, a dziś rozdzieliły się one, i odeszły od siebie". Tak mówił niepospolity humanista i artysta słowa; melancholię tego stwierdzenia odczuwamy jeszcze bardziej dziś, gdy humanistyczny punkt patrzenia nie jest tak częsty jak dawniej. Zdaje mi się, że platforma kulturalnego zrozumienia humanistyki ogromnie by rozjaśniła trudne, jak drugie dotyczą sprawy „studiów niezmierją na uwadze reprezentanci humanistyki polskiej, dbali o jej coraz głębsze rozkrzewienie w naszym społeczeństwie.

Czy zaś należy prócz magisteriów „chlebowych" (dla nauczycieli szkół średnich) tworzyć inne „naukowe" bez studiów językoznawczych, jak się tu i ówdzie proponuje — nie nam o tym radzić. Zdaje się jednak, że studia językoznawcze konieczne są i dla badacza naukowego literatury i dla „literata". Widzimy przecież, że dzisiaj literaci nie tylko czują swój związek z językoznawstwem, ale nawet opracowują tematy, które w idealnym stanie nauki należałyby do językoznawców. Tylko chodzi o to, by piękny tytuł „języko-znawca" mieścił w sobie całą głęboką treść, jaką w nim chce widzieć przeciętny literat, szukający pouczenia u prawdziwych znawców języka.

Na tych parę uwag czy sprostowań pozwoliliśmy sobie tylko z tego względu, że w swej służbie spotykamy się z pracą i troską kolegów polonistów i widzimy czego im potrzeba, zwłaszcza gdy po skończeniu egzaminów zaczynają samodzielnie pracować. Prof. Zyg. Łempicki (Kur. Warsz. 1938, 18. VI) słusznie zauważa, że dotychczasowa dyskusja „dotyczy zaledwie jednego odcinka"; próbowaliśmy go oświetlić ze strony nauczyciela-praktyka; stąd pewne dezyderaty, stąd też pewne poprawki, może trochę gorzkie, ale zarówno jedne, jak drugie dotyczą sprawy „studiów niezmiernie doniosłych z ogólniejszego punktu widzenia" (Z. Łempicki).

Dr Franciszek Zastawniak

Namiastki i materiały zastępcze
w gospodarstwie narodowym

Samowystarczalność jest obecnie najpopularniejszą ideą przewodnią gospodarki wszystkich narodów. Państwa, w okresie kilkuletniego minionego kryzysu gospodarczego, zamknęły się barierami celnymi i ograniczeniami dewizowymi, starając się zapewnić sobie gospodarczą niezależność. Wypadki polityczne, rozgrywające się w czasie ubiegłych dwóch lat w Europie i związane z tym zbrojne pogotowie wszystkich prawie państw, wzmogły jeszcze bardziej dążenie do samowystarczalności. Każde państwo, prócz armat i samolotów, wszystko inne kupuje u drugiego tylko pod warunkiem wzajemności. A że w ogóle jakakolwiek międzynarodowa wymiana handlowa dotąd jeszcze istnieje, przyczyną tego nie jest zdrowa kalkulacja handlowa, lecz, że na szczęście, nie ma na świecie ani jednego państwa, które by posiadało wszystkie konieczne dla swego życia gospodarczego surowce.

Najzasobniejsze w surowce, obydwa mocarstwa anglosaskie, Imperium brytyjskie i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, posiadają niektórych surowców nadmiar, są państwami „nasyconymi", jak się obecnie mówi o państwach, posiadających tyle surowców, że w obawie przed spadkiem ich ceny, niszczą nawet swe zapasy przez spalenie lub zatopienie. Mimo tego bogactwa

Anglia nie posiada jednak własnej nafty i bawełny w odpowiednich ilościach, a Stanom Zjednoczonym brakuje cyny, wełny i kauczuku.

Nafta, jak wiadomo, była jedną z nie najmniejszych sprężyn, które spowodowały wybuch wojny światowej. Bawełna była powodem wykreślenia Abisynii z mapy państw świata. Kauczuk zaś surowiec, którego znaczenie ludzkość oceniła dopiero po wojnie światowej z rozwojem motoryzacji, jest powodem, że rozmiłowana w pokoju i kwiatach Holandia, nie zagrażająca nikomu lecz posiadająca drugie miejsce w świecie produkcji tego surowca, musi się zbroić, by móc bronić swego imperium kolonialnego Indii Holenderskich, przed apetytem, potrzebujących kauczuku i nafty sąsiadów.

Problem ważności surowców po raz pierwszy wyłonił się w czasie wojny światowej. Boleśnie odczuły go zwłaszcza państwa centralne. Zostały bowiem przez Ententę prawie całkowicie odcięte od krajów zamorskich, które są producentami najważniejszych surowców. Że jednak mimo tego Niemcy tak długo potrafiły prowadzić wojnę, zawdzięczały to przede wszystkim swemu wspaniale rozwiniętemu przemysłowi chemicznemu i doskonałym chemikom. Przemysł ten już w początkach wojny otrzymał polecenie wynalezienia takich materiałów, które by zastąpiły brak najkonieczniejszych surowców, względnie by starał się pewne konieczne towary i materiały zastąpić przez bardziej dostępne choćby nie posiadające tych samych korzystnych właściwości. W ten sposób powstały słynne wojenne „Ersatze" czyli namiastki, a więc papierowe ubrania, worki, buciki; bielizna i idzież z pokrzywy, chleb z domieszką trocin i wiele innych. Pozbawiony bowiem prawie całkowicie takich surowców jak wełna, bawełna i juta przemysł włókienniczy Niemiec i Austrii w poszukiwaniu za surowcem zastępczym, przypomniał sobie, że

w XVIII w., przed wejściem w użycie bawełny, pokrzywa oddawała duże usługi w manufakturze włókienniczej.

Pokrzywy było jednak mało, sięgnięto więc do łatwiej dostępnego papieru, który krajano na długie wąskie paski i skręcano w nici. Po tym zaczęto nawet słomy i chmielu używać jako surowców włókienniczych.

Bardziej przykrymi, zwłaszcza dla ludności wielkich miast, były namiastki produktów spożywczych. Do żytniej mąki chlebowej początkowo dodawano mąki jęczmiennej i owsianej. Z pogorszeniem się sytuacji w chlebie spotykało się kartofle, rzepę, żołędzie, a w latach 1917 i 18

Z badań nad stosunkami polsko-włoskimi

Polacy we Włoszech w okresie humanizmu

Nie ulega wątpliwości, że spośród badań naukowych poświęconych wzajemnym stosunkom Polski z innymi narodami, bardzo duży walor mają badania nad stosunkami Polski z Włochami. Powszechnie to wszak jest wiadomym, że od najdawniejszych czasów, od zarania naszego życia kulturalnego, od X prawie wieku, celowo szukaliśmy zbliżenia kulturalnego z Włochami, nie chcąc czerpać wzorów od bliższych nam i zainteresowanych politycznie, sąsiadów.

Toteż kultura włoska miala u nas zawsze duży wpływ, nie tylko na literaturę, na życie moralne przez Kościół, ale również na całą psychikę narodu, obyczaje, poglądy i t. d. Nie sposób też w badaniach nad kulturą polską pominąć wyników badań nad stosunkami Polski z Włochami.

Badania te, rozpoczęte już dawno daly dość duży plon. Wielkie zasługi ma tu Polska Akad. Umiejętności w Krakowie, która już przed wojną utrzymywała we Włoszech t. zw. „Expeditio Romana" a obecnie stale utrzymuje *Stację rzymską,* która jest ośrodkiem tych studiów.

Jednak nie równomiernie zbadano poszczególne okresy dziejów. Najlepiej opracowano może średniowiecze. Mamy tu wspaniałe prace I. Wojciechowskiego, Ptaśnika, Ks. Fijałka, Dąbrowskiego. Czasy odrodzenia opracowuje wciąż prof. Kot, który zgromadził duży materiał w Komitecie źródeł do stosunków Polski z Zachodem, gdzie przede wszystkim uwzględniono stosunki z uniwersytetami włoskimi. Gorzej przedstawiają się prace do czasów nowożytnych. Dla dużego okresu dziejów od XVII do XIX wieku, mamy niewiele stosunkowo pozycji. Archiwa zaś włoskie zawierają mnóstwo cennych relacyj Włochów o Polsce, szereg dokumentów a zwłaszcza depesz dyplomatów o sprawach polskich, które na ogół nie są jeszcze dostatecznie wyzyskane.

Lepiej nieco przedstawia się wiek XVIII., z którego mamy doskonałe prace M. Loreta, Handelsmana oraz młodszych historyków jak Kaliksta Morawskiego i ks. Żywczyńskiego i in.

Jest nadzieja, ze po wyjściu w druku dalszych wydawnictw źródłowych, przygotowanych przez Polską Akademię Umiejętności a m. in. wydawnictwa nucjatur (Ks. Glemma), i te badania dla XVI—XVII ruszą naprzód.

Jednak największe znaczenie mają badania nad tym okresem, w którym kultura włoska promieniowała na cały świat — t. j. badania stosunków polsko-włoskich w dobie humanizmu.

Ten właśnie temat podjął w swej cennej rozprawie *Doc. H. Barycz,* („Polacy na studiach w Rzymie w epoce Odrodzenia", Arch. Kom. do dziejów oświaty w Polsce, Kraków, nakł. P. A. U., 1938, str. 274), jeden z najlepszych w Polsce znawców humanizmu. Zajął się tym miastem, które od starożytności odległej wywierało zawsze równie potężny wpływ na ludzkość. Bardzo wnikliwie i rzeczowo przedstawił autor rozwój Rzymu kulturalnego na przestrzeni prawie dwóch wieków i na tym tle przedstawił te „krocie Polaków", które tam nieustannie dążyły. Na podstawie żmudnych poszukiwań po archiwach włoskich i polskich, prowadzonych z iście benedyktyńską gorliwością, przedstawił autor ten olbrzymi korowód polskich peregrynów do „Wiecznego Miasta" i potrafił w dziejach podróży naukowych młodzieży polskiej w Rzymie w l. 1440—1600 wyodrębnić pewne epoki.

Zaczęło się od chęci zdobycia doktoratu prawa kanonicznego i godności kościelnych, po tym od początku wieku XVI przyświeca tym podróżom cel poznawczy, chęć zdobycia wiedzy rozkwitającego humanizmu. W drugiej połowie XVI w. idą szeregi Polaków do Rzymu, by zdobyć środki moralne do walki z reformacją (polscy jezuici), a w końcu w dobie odrodzenia religijnego, dochodzi nowy czynnik religijny. Autor zebrał niesłychanie ciekawe materiały do pracy nad polskim pielgrzymstwem religijnym i zamierza ją wkrótce ogłosić.

Trudno w krótkiej recenzji wymienić wszystkie zdobycze kilkuletniej pracy, nie sposób nawet z grubsza wymienić ważniejsze momenty. Dość wspomnieć nazwiska tych wybitnych Polaków, których dzieje rzymskiej podróży opisuje autor. Są to prawie wszystko najwybitniejsze nazwiska polskie XV i XVI wieku. A więc: J. Lasocki, Z. Oporowski, Lutek z Brześcia, *św. Jan Kanty,* J. Lubrański, J. Ursyn, *M. Kopernik,* P. *Tomicki,. J. Dantyszek,* F. Padziewski, P. Myszkowski, *St. Orzechowski, M. Kroner, J. Kochanowski;* Jezuici: *Wujek,* Warszawicki, *Skarga;* dalej J. Radziwiłł, M. Szyszkowski, B. Maciejowski, *Andrzej Batory,* jezuita K. Sawicki i wielu, wielu innych.

Ogromnie ciekawe są szczegóły tyczące się życia tej młodzieży polskiej w Rzymie, Autor odtworzył to życie tak, że mimo całego balastu naukowego dzieło czyta się z dużym zainteresowaniem.

Gdyby ktoś chciał szukać stron ujemnych, to zapewne je znajdzie, bo trudno ominąć wszystkie trudności w pracy pionierskiej, jaką jest praca p. Barycza. Może by ktoś chciał jeszcze widzieć to życie Polaków na tle innych nacyj, których było dużo w Rzymie, możeby się znalazła ta lub owa jednostka wybitniejsza, która w tym studium została pominięta. Nie ulega jednak wątpliwości, że dla przyszłych badaczy praca ta musi stanowić podstawę i punkt wyjścia, że pchnęła badania poważne naprzód i to jest największą zasługą autora.

Dr J. G.

Rozrywki umysłowe Nr 30/121

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

IV KONKURS ZADANIOWY (d. c.)

2 × 2 × 2 × 2 = 22222

RZY	ŁO,	TO	CE	WY	DWÓ	WAC	KSIĘ	MO	ŁEM	GDYM	ZA
NA	TAM	DA	I	TWO	ZY	SIĘ	SIĘ	ZO	NIE	MU	CI
DRZE	ŁO,	TU	A	MROK	CAŁ	DWA	DZI	W OO	WE	A	MI
U	NIC	ROZ	Z PO	SZA	NIC	STKO	MI	NY	BA	TRA	PRZE
GDYM	WA	LAN	RY	WRA	NIA	LECZ	KI,	I	RA	DWIE	CZYŁ
MNIE	GÓ	DZIŚ	PRA	HU	SAN	NIE	WSZY	TEŚ	ŻO	RO	U
LU	KI:	DWÓJ	PRZE	DO	KOŚ	TAR	SZA	ŻO	DO	AZ	WE
RY	NIE	DZIE	JA	LA	STRA	MY	DZIW	DWIE	CJO	NY	PIE

ZAD. 9. — KONIKÓWKA — DZIWNE ZJAWISKO (5 PUNKTÓW).

ul. „**Pigmalion**" —

Poczynając od kratki z sylabą „Dziw" i posuwając się ruchem konika szachowego, należy odczytać pewne „niesamowite zjawisko", wynikające w pewnych „niesamowitych" okolicznościach. **Najpierwszemu szaradziście**, nadsyłającemu **trafne rozwiązanie, autor przeznacza piękną reprodukcję obrazu J. Matejki p. t. „Bitwa pod Grunwaldem".**

ZAD. 10. — SZARADA FONETYCZNA WSZECHSTRONNIE. (5 PUNKTÓW).

ul. „**Andrus**" — Kraków.

Niejedna **druga - trzecia** mi powiada:
„**Pierwszy i piąty** to **raz - trzy** nielada
dla ucha mego". I wiele upłynie
lat jeszcze długich, zanim kto zasłynie
taką muzyką, którą znają wszędzie!
Na którą może się nikt nie zdobędzie;
która nad brzegi **Piątej - wspak pięć - cztery**
dociera łatwo przez superhetery,
którą słuchają brzegi nader długiej
wspak Czwór - wspak trzeciej - pół trzeciej i drugiej,
a wszędzie sukces odnosi wspaniały,
zwłaszcza, gdy rolę odgrywa w niej **Cały**

ZAD. 11. — LOGOGRYF PRZEKŁADANY (5 PUNKTÓW).

ul. **Witold Nowicki** — Warszawa.

Należy ułożyć 8 wyrazów siedmioliterowych o niżej podanych znaczeniach. Następnie z każdego wyrazu jedną literę zamienić na inną tak, aby po odpowiednim przestawieniu, litery utworzyły znowu wyrazy siedmioliterowe. Środkowe litery nowych wyrazów dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Ruchomy daszek od blasku — drobny handlarz, 2. żywice używane do kadzideł, perfum — autor satyr, 3. źródła mineralne o znacznej zawartości soli — podstawa ozdobna do pomieszczenia na niej zegaru, wazonu i t. p. 4. polska zupa — dopływ Niemna, 5. ptak — kapłan przy wojsku, 6. pierwsza litera imienia lub nazwiska — poeta polski, 7. ptak — szczotka do czyszczenia skóry koni i bydła, 8. rozkosz, przysmak, rarytas — denuncjacja, doniesienie do władzy.

ROZWIĘZANIE ZADAŃ Z NR 20/111.

Zad. 13. — Tajemnicze pismo: Sumbra-Andrus, Kasta - Anerg,

Zad. 14. — Eliminatka: Dobry żart tynfa wart (lud, obr. mysz, żagiel, mirt, luty, glin, szef, gulasz, mewa, gurt).

Zad. 15. — Metamorfoza: Reymont (metryka, metyska, masykot, maskotka, sonatka, satynka, statyka, satyrka).

Zad. 16. — Szarada: Upaniszada.

KUPON Nr 30/121
ważny do 7. VIII. b. r.

nawet spreparowaną chemicznie słomę i mąkę dzikich kasztanów. Brakowi mięsa miały zaradzić najrozmaitsze preparaty z krwi zwierzęcej i mięsa ryb morskich. Zamiast cukru używano wyłącznie sacharyny. Wszystkie te materiały tak codziennego użytku, jak i środki spożywcze były prawdziwymi namiastkami „ersatzami", gdyż w najlepszym nawet wypadku nie przynosiły konsumentowi pożytku.

Niemcy przeszły więc w czasie wojny doskonałą szkołę samowystarczalności

i obecnie intensywnie się zbrojąc, woląc „armaty niż masło", sięgają do tych doświadczeń z czasów wielkiej wojny. Ograniczono sprzedaż podstawowych artykułów spożywczych, zalecono unikanie zaopatrywania się nie tylko w wyroby pochodzenia zagranicznego, ale nawet w wyroby wytworzone w Niemczech, lecz z surowców zagranicznych, wreszcie zabroniono używanie niektórych przedmiotów wytworzonych z materiału szlachetniejszego, gdy mogą być zastąpione przez przedmioty z surowców krajowych mniej wartościowych i bardziej dostępnych. Niektóre z tych zakazów są bardzo charakterystyczne n. p. zakaz używania w restauracjach serwet lnianych, gdyż można je zastąpić serwetami papierowymi, czy nawet zakaz dekorowania półmisków skrawkami pomidorów czy sałaty, gdyż równie ładnie półmiski mogą być przyozdobione zielonymi listkami tańszej marchewki.

Z sytuacji państw Centralnych w czasie wojny, spowodowanej brakiem surowców, wyciągnęły też naukę wszystkie inne państwa świata. Dlatego też sprawą sprawiedliwego rozdziału surowców zajmowała się Liga Narodów od samego prawie początku swego istnienia. Zagadnienie to jednak było zbyt ciężkie i drażliwe dla niektórych państw, by mogło być załatwione po myśli państw, odczuwających brak surowców. Jeszcze w ub. roku stworzono Komitet Surowcowy i zdawało się, że sprawa ruszy z miejsca. Skończyło się jednak na razie na kilku pięknych przemówieniach, żadne bowiem z państw bogatych w surowce nie ma zamiaru rezygnować ze swych kolonii, a wolnych obszarów bogatych w surowce nie ma już na kuli ziemskiej.

Niezależnie jednak od sprawy naturalnych surowców wszystkie państwa dążą do zastąpienia tych zamorskich a zatem łatwych od odcięcia w czasie wojny surowców, równowartościowymi materiałami pochodzenia krajowego lub przez sztuczne wytwory przemysłu chemicznego. Zrozumiano bowiem, że samowystarczalność w okresie wojny jest podstawą siły i niezależności państwa.

I tak w przemyśle włókienniczym sztuczny jedwab wynaleziony przez hr. de Chardonnet coraz skuteczniej konkuruje z zamorską bawełną. Również zamorska bawełna znalazła przed dwoma laty groźnego konkurenta w wynalezionym przez Włocha Ferettiego „lanitalu", sztucznym włóknie otrzymanym z kazeiny, a zbliżonym swymi własnościami do wełny.

Sztuczny jedwab i sztuczna wełna nie są „ersatzami",

lecz wartościowymi włóknami syntecznymi, które pod pewnymi względami ustępują, lecz pod wieloma przewyższają swe odpowiedniki naturalne. Tak, jak wartościowym jest cukier buraczany, mimo że gospodynie angielskie uważają dotychczas, że dobra konfitura owocowa może być sporządzona tylko na cukrze trzcinowym, jak wartościowymi są nawozy sysletyczne jak wreszcie papierowy bilet bankowy z pożytkiem pełni funkcje pieniądza i w zupełności zastępuje nam prawdziwe złote lecz ciężkie krążki metalowe.

Podobnie nie jest namiastką benzyna. Bo i ten problem został już całkowicie technicznie rozwiązany. Państwa posiadające duże ilości węgla, a którym brak „płynnego złota" jak nazywają ropę naftową, mogą węgiel ten upłynnić. Problem ten najwięcej interesuje Niemcy, które tak wspaniale się zmotoryzowały, a nafty posiadają w hannowerskiem tylko około 5 proc. swego zapotrzebowania, mają zaś bardzo bogate zagłębia węglowe. Ich też uczony, wybitny chemik Fryderyk Bergius, pracujący nad tym problemem od 1913 r. pierwszy go rozwiązał przez działanie wodoru pod ciśnieniem około 200 atmosfer na spreparowany odpowiednio miał węglowy. Niezależnie od metody Bergiusa opracowano również w Niemczech metody otrzymania ciekłych paliw z koksu pod wysokim ciśnieniem, a w r. 1926 Franz Fischer uzyskał ciekłe paliwo przez uwodornienie tlenku węgla pod ciśnieniem normalnym. Wszystkie te trzy metody otrzymywania ciekłych materiałów pędnych z węgla są już eksploatowane, i już obecnie pokrywają Niemcom więcej niż połowę ich zapotrzebowania. Dalsza rozbudowa tej gałęzi

ŻYCIE RELIGIJNE

Film, a publiczność

Moralność a reklama filmowa

„Publiczność ma taki film, na jaki zasługuje!" — Tak brzmi zdanie wypowiadane często przez fachowych producentów, zdanie na pozór uzasadnione, ale przy bliższym zbadaniu psychologii i specjalnych upodobań przeciętnej publiczności kinowej okazuje się, że takie zdanie, upraszczające wielki problem: „film a publiczność" — nie daje bynajmniej odpowiedzi na to niepokojące świat filmowy pytanie:

Czy należy liczyć się z żądaniami publiczności, czy też raczej trzeba publiczność przygotować tak, aby jej upobodobania odpowiadały wymogom techniki, estetyki filmowej (Por. „Osservatore Romano": Cinematografia).

„Czy publiczność ma dyktować wytwórcy swe upodobania? — zapytuje włoski krytyk filmowy B. Gaddi? Czy też przemysł filmowy powinien naginać nastroje publiczności dla swych celów utylitarnych? Jest to zagadnienie pierwszorzędne także dla kultury i moralności. Słyszy się bowiem często o ujemnym wpływie filmu na psychikę dzisiejszego człowieka i tłumaczy się to złe oddziaływanie niezdrowymi pragnieniami samej publiczności. Istnieją zdania znawców kinematografii, że publiczność należy wychowywać, to znaczy, że opinia o tym, jaki film należy uważać za dobry pod względem technicznym, estetycznym i moralnym, nie może być urabiana przez masę widzów kinowych lecz przez ludzi specjalnie do wydania takiej oceny uzdolnionych i powołanych. Jeżeli za tym pojawiają się obrazy filmowe małowartościowe lub nawet szkodliwe — to jest to wyłącznie wina samych producentów i krytyków filmowych".

Potęga reklamy filmowej, sugestionującej w wielkim stopniu masy, jest tak potężna, że przy odpowiedniej taktyce można urabiać i upodobania publiczności kinowej w kierunku zarówno ujemnym jak i dodatnim. Przykład: idzie jakiś obraz, stanowiący arcydzieło techniczne, ale o treści i tendencji szkodliwej. Tu reklama, gloryfikująca tego rodzaju film, jest oczywiście moralnym oszustwem. Nie można bowiem określić jako rzeczy dobrej tego, co daje rozkładowa treść. I odwrotnie, może być ideologia na ekranie najszlachetniejsza, ale nieudolnie wyrażona pod względem technicznym. I znowu narzucanie sugestią reklamy takiego obrazu publiczności, jest nieuczciwością.

Moralność reklamy filmowej jest ściśle związana z problemem: produkcja a publiczność. Dotąd produkcja filmowa nie ulegnie zasadniczej poprawie w skali światowej pod względem moralnym, dopóki specjalne prawodawstwo międzynarodowe nie zabroni nadużycia reklamy filmowej dla celów ubocznych — merkantylnych czy agitacyjnych.

Opinia publiczności kinowej jest zjawiskiem kapryśnym i subiektywnym nad wyraz. Czyż nie zdarzają się wypadki, kiedy filmy bezwartościowe znajdują poklask w specjalnym środowisku, n. p. filmy kryminalistyczne, detektywiczne, ilustrujące dzieje szpiegostwa i t. p.

W jaki sposób można kształcić smak publiczności w sprawach filmowych? Przede wszystkim odpowiednią oceną w prasie.

Powtóre — chcąc wyrabiać w publiczności zdolność do należytej oceny filmów, trzeba jasno sprecyzować wymogi moralne, ideowe i techniczne, stanowiące fundamentalne warunki dobrej produkcji filmowej.

Publiczność, reprezentująca pewien określony światopogląd ideowy i moralny, n. p. publiczność katolicka, musi jasno zdawać sobie sprawę, jakie są jej wymagania w stosunku do filmu.

To znaczy, że katolicy muszą posiadać jasną świadomość, czy dany obraz filmowy ze stanowiska doktryny, którą wyznają, należy odrzucić czy zaaprobować. A zdolność do takiej inteligentnej świadomej oceny mogą wyrabiać tylko fachowi katoliccy krytycy filmowi. Takich krytyków potrzeba nam dziś we wszystkich krajach. Mogą oni w sposób nieslychanie dodatni wpłynąć na podniesienie poziomu moralnego tych milionów, którzy czerpią wiele natchnień życiowych i wskazówek z ekranu.

Jednak trzeba przyznać, że na ogół upodobania publiczności kinowej podniosły się w ostatnich czasach pod względem moralnym. N. p. wielki znawca nowoczesnej kinematografii William Hays, prezes producentów filmowych w Stanach Zjednoczonych niedawno pisał: „Klasyczne dzieła literatury światowej i biografie znakomitych i wartościowych pod względem moralnym ludzi zajęły wybitne miejsce w produkcji filmowej w r. 1937 i bieżącym".

W Stanach Zjednoczonych w 73.000 szkół wprowadzono krótkie pokazy filmowe o treści naukowej, poprzedzane krytycznym wstępem o należytej ocenie filmów. W Bernie, w Szwajcarii, zorganizowano

specjalny konkurs katolickiej krytyki filmowej.

Nadesłano oceny o 800 obrazach filmowych. Przy tym — jak zaznacza Courrier de Geneve — okazało się, że publiczność okazała wiele zrozumienia dla moralnych potrzeb nowoczesnej kinematografii.

Znany krytyk filmowy A. Marcel Chamonin w art. „W obronie ekranu" tak przedstawia problem „Film a publiczność": *„Przeciętny widz oglądający obraz na ekranie nie może być pozostawiony sam sobie... Bez przewodnictwa w ocenie filmu zmanieruje się. Tu trzeba wychowywać poczucie moralne, poczucie piękna i znajomość walorów techniki filmowej. A rolę wychowawców, wskazujących, co liche a co wartościowe w bieżącej produkcji, oglądanej na ekranie, winni spełniać fachowcy, którzy znajomość wielkiej sztuki filmowej łączyliby w sobie z wysokim poczuciem moralnym".*

Problem neofitów

Pewien biskup zapytał jednego ze swych proboszczów, ilu ma parafian. Gdy proboszcz powiedział, że ma ich kilkuset, biskup zdziwiony rzekł: „Przecież w samym mieście, gdzie ksiądz pracuje, liczy się ludności kilka tysięcy, parafia zaś księdza sięga jeszcze poza miasto". „Tak, odpowiada proboszcz — ale to przecież innowiercy". Na to biskup: „A czyż innowierców nie zlecił Pan Bóg pieczy księdza".

Należy powtórzyć to pytanie: Czy duszpasterzom Zbawiciel nie zlecił też pieczy nad innowiercami? Czy, idąc do parafii mieszanej, nie biorą oni na siebie zobowiązania pracować również nad nawróceniem innowierców? Czyż nakaz Chrystusa: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody" ma na względzie samych tylko katolików?... (por. „Duszpasterz wśród innowierców").

Ten ważny praktyczny problem poruszył ostatnio paryski katolicki dziennik „La Croix" w art. „Psychologia konwertytów", wykazując, że tak konwertyci jak i neofici są silnym dowodem prawdziwości wiary naszej. Jeżeli dusza uwikłana błędem nawraca się, jest to dowodem, że w religii, do której bezinteresownie, owszem, często z doczesną swoją szkodą przystaje jest prawda i światło rzeczywiste.

Smutne wydarzenie, jakie niedawno zaszło w jednym z kościołów w Warszawie zaktualizowało zagadnienie neofitów. Trzeba się nad tą sprawą poważnie zastanowić.

Z natury swego posłannictwa Kościół zawsze otaczał opieką neofitów. Jan XXII w 1320 r. wznowił dawne prawo, przyznające neofitom dobra, jakie posiadali poprzednio, a jakie kwestionowali im ich krewni, pozostali w niedowiarstwie. Papież Mikołaj V 1451 r. zatwierdził bullą prawo Henryka III króla Kastylii, wznowione przez króla Jana II, mocą którego neofitom przyznano wszystkie honory i przywileje, jakich używali inni chrześcijanie, co później rozciągnięto na cały świat chrześcijański (por. Tonelli: Manductio od finem). Św. Ignacy Loyola przedstawił papieżowi Pawłowi III plan założenia w Rzymie oddzielnego domu dla neofitów. Plan ten został wykonany w roku 1542. Za przykładem Rzymu zakładano i w innych większych miastach domy dla neofitów, gdzie zaś takich nie było, dawano im naukę i schronienie przy klasztorach.

Grzegorz XIII w roku 1576 założył specjalne kolegium dla neofitów oraz przedsięwziął środki dla nawracania żydów. Klemens XI (1700 — 1721) ponawiając dawne postanowienia papieskie, wszystkie urzędy duchowne i świeckie napomina, żeby „neofitom pomoc dawali i krzywdy im czynić nie dopuszczali" (por. Chodyński. Decretales Sum. Pontif.).

W dawnej Polsce żydzi, którzy przyjęli katolicyzm na zasadzie statutu litewskiego z roku 1588 i uchwał sejmowych uzyskiwali pełnię praw politycznych. Podobnie rozumowało społeczeństwo angielskie a zapewne i włoskie w epoce renesansu. W „Kupcu Weneckim" Szajlok jest nie tylko nikczemnym lichwiarzem ale i nieprzejednanym wrogiem społeczeństwa chrześcijańskiego, a jednocześnie córka jego Sessika, traktowana jest jako uczciwa i pełna zalet chrześcijanka.

Ostrożność w tych sprawach jest wskazana, choćby n. p. dlatego, że w Hiszpanii nawrócenie żydów było często pozorne. I w Polsce Krasiński przedstawia w „Nieboskiej Komedii" chór przechrztów pozornie tylko nawróconych. Prawda, że rola krwi i pochodzenia w życiu człowieka jest bardzo duża, że istnieje olbrzymia różnica między np. umysłowością żydowską a polską. Prawda, że Polska nie może się stać Judeo Polonią, jak tego obawiał się już Julian Ursyn Niemcewicz (w powieści „Lejbe i Siora"). Do tego nie możemy dopuścić. Niechaj żydzi o tym wiedzą i niech się z tym liczą.

Ale pomimo to musimy stać na stanowisku chrześcijańskim i pamiętać, że nie możemy odtrącać od prawdy Chrystusowej neofitów uczciwych i ideowych.

---

przemysłu zajmuje w czteroletnim planie gospodarczym Niemiec bardzo poważne miejsce.

W ślad za Niemcami również Anglia i Francja przystąpiły do budowy fabryk mających upłynniać węgiel. Benzyna ta obecnie kalkuluje się jeszcze znacznie drożej niż benzyna otrzymana z ropy naftowej, lecz względy zbrojnego pogotowia gospodarczego mają większe znaczenie.

Również kauczuk, bez którego trudno obecnie sobie wyobrazić prowadzenie nowoczesnej, zmotoryzowanej wojny, gdyż służy do wyrobu opon samolotowych i samochodowych, płaszczów żołnierskich i masek gazowych, jest wyrabiany syntetycznie. Bardzo trudny ten problem również prawie całkowicie został rozwiązany, a syntetyczny kauczuk zwany w Niemczech „Buna" pokrywa znaczny procent zapotrzebowania niemieckiego przemysłu automobilowego.

W wyścigu samowystarczalności i zastąpienia surowców zagranicznych surowcami krajowymi musiała wziąć udział i Polska. Rzucono między innymi hasło uniezależnienia się od przywozu zagranicznych surowców włókienniczych i oparcia tego przemysłu na surowcach krajowych, jakimi są len i konopie. Ponieważ cały ten przemysł nastawiony był tylko na przeróbkę włókna bawełnianego, wyłonił się

problem kotonizacji lnu i konopi.

Kotonizacja polega na doprowadzeniu lnu przy pomocy procesów chemicznych i technicznych do stanu, w którym mógłby on być przerabiany na wrzecionach bawełnianych, t. j. aby włókna lnu posiadały długość 30 do 40 mm. Problem ten został technicznie już całkowicie opracowany, chociaż moment kalkulacji handlowej nasuwa jeszcze pewne trudności. Dzielnie sekunduje polskiemu lnu, w akcji uniezależnienia się przemysłu włókienniczego od surowców zagranicznych, sztuczny krajowy jedwab. Niedawno (14. maja) otwarta fabryka sztucznej wełny „lanitalu" w Pabjanicach pod Łodzią jest próbą uniezależnienia się naszego potężnego przemysłu włókienniczego również od zagranicznej wełny. Lanital pod względem ciepła i miękkości przewyższa nawet wełnę owczą, i w naszym chłodnym kraju na wypadek wojny może oddać duże usługi.

Posiadamy również własny kauczuk sztuczny t. zw. ker, otrzymywany ze spirytusu podług metody opracowanej przez Inż. A. Szukiewicza w Chemicznym Instytucie Badawczym. Wykorzystanie tak ważnego produktu rolniczego jak spirytus dla celów otrzymywania sztucznego kauczuku jest bardzo pięknym przykładem właściwego sprzęgnięcia rolnictwa z przemysłem. Przy czym należy wspomnieć, że dla wyprodukowania rocznego przywozu kauczuku do Polski należałoby zużyć około 1 proc. polskiej produkcji ziemniaków. Fabryka keru budowana jest obecnie na terenie Centralnego Okręgu Przemysłowego w Dębicy.

Tych kilka przykładów właściwego rozwiązania problemów surowcowych w naszym kraju świadczy najdobitniej, że w staraniach o samowystarczalność gospodarczą czynimy równie duże wysiłki jak i zagranica a i w osiągniętych wynikach niczym zagranicy nie ustępujemy.